

„Vendetta”

Umarł dokładnie dwa miesiące temu, ale czuł się dobrze, czego żywym świadectwem był fertyczny krok trzaskający chodnik, unurzany we wszelkiej nieczystości. Na domiar tego, wściekle cynobrowe usta miał rozciągnięte w szubrawym uśmiechu.

Dufne masy, z torbami nabitymi wyhodowanymi laboratoryjnie kotletami i telefonami rozgrzany przez przewalutowanie na nowe krypto, naturalnie uwieszały na nim zimne źrenice.

To było zabawne; chociaż ludzkość wiek temu spaliła podobieństwo kolebki i trumny, wciąż nie potrafiła smakować istoty carpe diem a fakt, że przypadła do gustu cudzym kubkom smakowym, budził jej niepokój. Nie ambarasowano się ludźmi zmartwionymi dziurą budżetową żołądka i szczupłością czasu; nie zaskakiwały ciała wykrzywione w konwulsjach i te z zamglonymi oczami, leżące pod nogami... Nie, tych gogusiów krew nie przerażała; mogliby taplać się i we własnej a przy tym zdążyć na obiad, więc po co patrzeć na coś ponad neony uwydatniające maksymalizm przestrzeni?

Nakrapiany gwiazdami firmament, niepokodzony z wszędobylskim brudem, przyszył płynne ściegi do klaustrofobicznych uliczek. Wkrótce deszcz zaczął pukać w okna jak kapłan dający rozgrzeszenie. W takich chwilach wysmukły cudak, zwany 505, pławił się w fantazjach graniczących z modlitwą. Wyobrażał sobie, że pod wpływem deszczu świat się oczyszcza, a on jest kimś więcej niż numerem noszącym zapach krwi i śmierci jak perfumy.

Jednak na końcu, mokra tkanina wychładzała jego skórę i nie mogąc skryć się pod zielonym baldachimem, wiedział: mrok wciąż pożera słońce, zgnilizna kąsa nozdrza, kakofonia kłuje uszy. Więc z drgającym kącikiem ust szedł tam, gdzie mu było pilno.

Zgodnie z rutyną, co drugi dzień przedzierał się przez drzwi świątyni ułudnej rozkoszy. Łuszcząca się karminowa farba oddawała wszystko, co stało za jazzowym barem. Jego właścicielem był geniusz wykorzystujący trzeźwość umysłu bez pożytku dla społeczeństwa, co budziło politowanie. Oliwy do ognia dolewało podejście dżentelmena do cudu techniki — transferu umysłu.

W roku 1970 doktor McDougall dowodził, że dusza ma masę; ważył pacjentów tuż przed śmiercią i po niej. Jego wyniki badań podważono i śmielej

stwierdzono, że życie nie zawiera się w substancji czy iskrze; zależy od nieustannych procesów biologicznych. Naukowiec znany jako 0, zafascynowany tymi badaniami, stwierdził, że śmierć jest porażką ciała, ale nie świadomości. Korzystając z ówczesnych możliwości, za pomocą komputera, dokonał skopiowania połączeń neuronalnych w mózgu i wiernie odtworzył ich działanie w symulacji komputerowej. Nie chciał, aby świadomość kurzyła się w wirtualnym świecie, więc przeniósł je do zdrowego ciała. Aby kontrolować zjawisko, wynalazca opracował złoty kodeks. Istotna była szczególnie zasada „do trzech razy sztuka”. A pan, który przy pierwszej próbie transferu otrzymał losowo wygenerowaną liczbę 1, a wiele lewych transferów później stworzył tę spelunę, wolał swoje zasady.

Taki stan rzeczy zdawał się nie przeszkadzać 505, który przywitał żółć wylewającą się z jarzeniówek. Ciepło szczypiące w kark doprowadziło go do dreszczu rozkoszy, a kosmyki w stanie nieomal ciekłym, przetransferowały wilgoć na garbaty nos, chłonący dowody ludzkiej egzystencji.

Nim na dobre wchłonął jazz wykonywany przez pijaków bez słuchu i rzucił okiem na zatłuszczone szklanki, z których picie było raczej przyprawione pokoleniowym głodem zapomnienia niż chęcią, poczuł klepięcie w ramię.

— Godziny bez ciebie ciągnęły się jak mokre gówno panie Eubanks — zironizował, kiedy przed oczami stanął mu wyższy o głowę Jamajczyk ze szklanym okiem i surową miną. Choć wyglądał jakby wyewoluował z goryla, był zycznym człowiekiem. Nauka dała mu możliwość zmiany „futurału”, ale zapierał się jak eremita, że nie skorzysta i jak podyktowała natura, użyźni ziemię, kiedy przyjdzie czas. Dlatego nie był cyfrą, a poczciwym Eubanksem, który chciał grać jazz, ale postura go wyprzedziła, więc został prawą ręką 1. To on z czeluści piekieł wydarł mężczyznę z lekarską teczką.

— Za mną doktorze — powiedział speszony i zgrzytając złotymi zębami, podreptał na pięterko. Choć mistrz sztuk naigrywania się ze śmierci zapragnął nalewką z morwy odżywić cielesne więzienie, nie oponował.

Skapane w mroku pomieszczenie było wypełnione świszczącymi nutami. Nim oczy przybysza przywykły do egipskich ciemności, rozblęskło światło. Zobaczył rozoranego zębem czasu mężczyznę leżącego w łóżku; wyglądał jak bezbronny kokon motyla. Słodyczą był wyłącznie widok dziewczątka przyssanego do jego boku; wyglądało na to, że małej anielicy nie przeszkadzał trupi odór, jakim przesiąknięte wydawały się zzieleniałe ściany.

— Doprawdy piękny flakon — powiedział starzec, a ton miał jak pióro i ołów.

— Pański z kolei wygląda jak półtora nieszczęścia — odparł 505 z twarzą, firmującą coś o rodowodzie niepokoju. Niewidzące spojrzenie, bladość skóry i ten zapach trupa, były jednoznaczne. Sztuki transferu należało dokonać w odpowiednim czasie; to nie było odgrzewanie zamrożonego na kość kotleta, a raczej zdjęcie go z ognia, zanim się spali.

— Musimy skopiować świadomość teraz.

Sędziwy mężczyzna wydawał się zachwycony faktem zmiany sflaczałego płaszcza, niegodnego skrywania rozumku tak żwawego.

Za to do głębi wstrząśnięta zdawała się jego córka. Coś w jej piersi pękło tak gwałtownie, że 505 zastanawiał się, czy to możliwe, że nikt nie usłyszał. A może nie chciał słyszeć; to nie było nic wielkiego. Od narodzin wiedziała, co ją czeka. Etyka transferu umysłu wyraźnie mówiła o tym, że nowe wcielenie można uzyskać, wyłącznie przez poświęcenie — to był wybór między życiem swoim a życiem pamięci o sobie. To tak jakby, rodzic wycinał narządy dziecka, wyszywał na nich inicjały, a potem wrzucał je z powrotem do tego cudownego flakonu, który stanie się jego własnym.

— Nie przeżyje podróży — usiłował wetować Eubanks.

— Jeśli chcesz deseru, to musisz jakoś przełknąć wszystko, co następuje przed nim — odparł. Był typem osoby, która wyjaśnia, w jaki sposób zamierza dźgnąć, zanim faktycznie wepchnie nóż. A człowiek mu na to pozwalał, bo nawet w niedołężnym ciele budził respekt. Dlatego Eubanks nie mógł zrobić nic ponad wzięcie go w ramiona i wyniesienie z baru jak prawdziwego kryminalisty.

Później, niezrażony pogodą pod psem i gęstwiną innych maszyn, zapakował mężczyznę do trójkołowego samochodu pokrytego panelami słonecznymi. Kolejno, otarł z czoła mozól i zmierzył podejrzliwym wzrokiem lekarza, który z nieblednącym uśmiechem tylko patrzył. Nie podejmując walki na spojrzenia, 505 wytargał z płaszcza zmiętoloną ulotkę z adresem i wręczył ją dziecku, które za nimi dreptało. Ach, jakie to było ładne dziecko; z oczami błyszczącymi jak gwiazda poranna. To wielka szkoda, że nigdy nie będzie miało okazji cieszyć się własną świadomością. Cały świat jest w równowadze; nic nie pojawia się znikąd, nic nie znika, a jedynie wszystko zmienia formę. Więc jej słodkie myśli na chwilę przejdą do marniejącego ciała, a później umrą razem z nim, aby jej dawca chwilowego życia, mógł przeżyć kolejny dzień. Chyba. Noc nadal młoda.

— Przyjdźcie szybko, dziś go poskładamy.

— Jasne.

— To będzie wielka strata słuchać radia zamiast ciebie.

Wkrótce ścisnął kierownicę samochodu wyglądającego jak skrzyżowanie batmobila z awionetką tak mocno, że knykcie natychmiast pobieleły. Dwuosobowa, szafranowa machina, zaginęła wkrótce pomiędzy tysiącami podobnych sobie. Koła samochodu kęsały nawierzchnię z lekkomyślnością, a szelmowski uśmiech ponownie rozgorzał na twarzy kierowcy. Deszcz był biblijny i twardy jak gwoździe; hałas tak grzmiący, że z trudem usłyszał głos spikera:

— Trwają badania nad stałym umieszczeniem świadomości w komputerze. Mogłoby to ułatwić loty kosmiczne. Człowiek zajmowałby mniej miejsca, nie podlegał procesom starzenia i mógł znieść przeciążenia, co ułatwiłoby eksplorację kosmosu. Lek na horrendalny przyrost naturalny tworzy się na naszych oczach!

— Karaluchy pod osłoną nocy spaskudziły Ziemię, a teraz za dnia chcą zafajdać kosmos — parsknął 505, a atmosfera zgęstniała. Gangster o spopieliałych oczach zaczął błędzić po twarzy młodzieńca, która straciła żartobliwy pozór.

505 dodał gazu i wpatrywał się w rozbite światła nadjeżdżających pojazdów. To szalona noc, więc gwałtownie wydarł się poza barierkę autostrady, tonąc w mroku.

Pasażer zachowywał się jakby mu biegał w głowie zacierzewiony Minotaur. Wciągał powietrze jak pies szukający zapachu i wyciągał głowę, naiwnie wierząc, że zaraz zalegnie, jak powinien, w świeżym ciele.

Stłoczone i pozostawione samopas sardynki w końcu tracą grubość obierzyny i miękną do tego stopnia, że skóra samoistnie separuje się od łusek. Wówczas drapieżnik przyjmuje w nozdrza amoniakowy aromat i zaglądając w kremowe tęczówki, poczyną studzić zapał, który przez te kilka chwil uparczywie podlegał ślinianki do pracy. Jednak 505 był padlinożercą. Swoje jedyne życie poświęcił na działalność w opozycyjnej grupie „Insomnia”, która pragnęła zakończyć transfery umysłów. Bo jak można zdecydować, kto naprawdę zasługuje na życie?

— Nazywam się Vendetta — wyszeptał, bo wiedział, że imię nadaje upokorzeniu twarz, a upokorzenie bywa łatwiejsze do zniesienia, gdy nie ma oblicza, jest tylko nieposkromioną siłą, jak los.

Umarł dwa miesiące temu, bo stracił nadzieję, że może posprzątać ten bajzel. Jednak widząc mgłę zasnuwającą źrenice tego szkodnika — nigdy nie czuł się lepiej.